

Pamięci Krzysztofa Łepkowskiego

*Popołudnie roztopiało się
w wieczór
wielcy przezroczystości siedzieli
na wzgórzach i tkali
zastony mroku
słońce wylewało resztki złota
na zmęczoną ziemię
[...]*

Tak zaczyna się wiersz dedykowany Krzysio-
wi, wiersz, który zawiera Jego zwielokrotniony
portret. Tak naprawdę to na wzgórzach przeby-
wał w pojedynkę, on „wielki, przezroczysty”. Au-
tor wiersza napisanego w końcu lat osiemdziesią-
tych, Andrzej Suryn uchwycił też nastrój złotego
okresu rozwoju Krzysiówego gospodarstwa. Ci
którzy to gospodarstwo kiedykolwiek odwiedzali,
zapamiętali może, jak Krzysztof schodził ze swo-
ich wzgórz, idąc na przywitanie. A wokół były je-
go zwierzęta, te domowe i te dzikie. Te dzikie
oczywiście schowane w lesie, ale dzięki gospoda-
rzowi niekiedy łatwiej było je dostrzec, bo on się
na nich znał. W tej jego sylwetce na wzgórzach
były jakieś rysy franciszkańskie... Były, a nie są?
Łapię się na tym, że piszę w czasie przeszłym.
Więc jak właściwie? Piszę w jakimś rozdarcu,
w dwa miesiące po Jego śmierci, z którą nie moż-
na się jeszcze pogodzić...

Wiersz o wzgórzach pojawił się w tomie
„Światło”, tam też zapisane zostały inne Krzysio-
we ślady i utrwalone rysy Jego niezwyklej osobowo-
ści. Drugą książkę Suryna „Dialogi z Tomaszem”
otwiera znowu wiersz dedykowany Jemu. Jego
cień łagodnie kładzie się na całości książki i do-
strzec go można też w głównej postaci tej książki,
w postaci Tomasza.

Mam ochotę przedzierać się przez te rysy przezroczyste, niezauważalne, rysy jego sylwetki czy obrazu, który sami tworzyliśmy. Bo potrafił nie narzucać się, nie manifestować, nie afiszować się. Droższe mu było bycie niż byt, jak powiedziałby filozof Marcin, którego książkę za młodu z zapamiętaniem czytał. A książka ta miała tytuł „Budować, mieszkać, myśleć” i przypuszczam, została mu w pamięci na całe życie. Na początku miał więcej takich lektur, „zbójce-kich książek”, jak mówiło się w czasach romantyzmu na te książki, które potrafią zmienić czytelnika, zmienić jego życie.. Budować, mieszkać... to znamiona dojrzałego, złotego okresu. Gospodarzyć, jak już wspominałem, mieć zwierzęta, ale — o dziwo! — pracować na roli, to dopiero był wynalazek! Jego własny, jego pomysł na życie. Imał się w życiu różnych zajęć, ale w tej dziedzinie osiągnął bardzo dużo. Stworzył dzieło życia, gospodarstwo ekologiczne, jedyne w swoim rodzaju.

Na początku były pomysły artystyczne. Był rok 1977. Jak właściwie nazwać to, czym się wtedy zajmował? Sztuka akcji? Pierwszą „akcję” zrobił na inaugurację „Olsztyńskiej Pracowni”. Miała miejsce w Trękusie. Wyjście o zmierzchu, z leśnej chałupy i wędrowka do świtu. Przez wpół opuszczone wioski i całkiem puste kolonie. Przychodziło zmęczenie, ale Krzys utrzymywał tempo marszu. Nad ranem szliśmy jak w malignie, jak duchy pośród duchów, właścicieli opustoszałych podwórek. „Pracownia”, Interdyscyplinarna Placówka Twórczo-Badawcza działała głównie w mieście, jej akcje adresowane były do miejskiej przestrzeni, ale rzecz charakterystyczna, Krzysztof — jej współzałożyciel i przez cały rok 1978 kierownik — wybierał sobie zwykle przestrzeń podolsztyńskiej wsi. Mieszkał wtedy w Plutkach, niedaleko były Nowe Włóki i Tuławki. Właśnie pośród tych miejscowości rozgrywała się jego druga akcja—wędrowka, „Podróż do domu”. Przygotował ją wspólnie z Ewą Kusiorską. Była to znowu wędrowka od domu do domu, w okolicy tym razem całkowicie już wyludnionej. W tamtym to czasie władza „dawała na wyjazd”, proces wyludniania postępował dalej. Pejzaż się zrobił trochę księżycowy, ale w nim kusiła chęć, by przerwać ten smutek, kusiła wolność. Zaproszeni do wędrowki — a było ich tym razem dużo więcej — goście zjechali się nie tylko z Olsztyna, ale i z kraju — oglądali w zrujnowanych domostwach znaki namalowane na ścianach. Znaczyły one jakiś rodzaj krótkiego, przelotnego oswojenia, namalowane na ścianie garnki, kot mogły znaczyć, że miejsca te staną się na powrót siedzibami ludzkimi, jak powiedziałby Stachura. Stachura wtedy pojawiał się w domu Krzysztofa i jego brata Macieja w Plutkach. W wiosce tylko jeszcze jeden dom był zamieszkany, mieszkali w nim zwyczajni wsiowi ludzie. Ale tak naprawdę to nic w tej wiosce nie było zwyczajne. Miała coś z Marqueza, ze „Stu lat samotności”. Deszcz potrafił padać przez dwa tygodnie, dzień i noc. Nie wspominałbym o tym, gdyby nie to, że była to ulubiona książka Krzysia. I może z niej czerpał tę ogromną energię wewnętrzną i pogodę ducha, która go nie opuszczała. Nie przejmował się deszczem i błotem, które na drogach dojazdowych było bardzo głębokie, bo w tamtej gierkowskiej epoce po wiejskich drogach ciągle jeździł ciężki sprzęt rolniczy. Krzysztof był w podróży do domu, poszukiwał swojego miejsca i miał je niedługo potem znaleźć w podobnej okolicy, po drugiej stronie Olsztyna. Ale najpierw musiał dobiec do końca epizodu „Pracowni”. Wspominane tu akcje to jedna strona, druga była zupełnie inna. Była to jego pierwsza praca po studiach, pierwsze starcie z życiem, po przyjeździe do Olsztyna, na prowincję. Tak, tak, była tu ciężka, peerelowska prowincja. Pracując w biurze organizacyjnym „Pracowni”, trzeba było codziennie walczyć jak Don Kichot, bo nigdy nic nie dawało się

załatwić. Pomysły były w jakiś szalony sposób nieprzystające do tej zdegenerowanej urzędowej sytuacji. Krzysztof był nie tylko specjalistą od akcji wiejskich, działając też w Olsztynie, świetnie łąpał kontakt z młodzieżą. Mimo że działanie było trochę po omacku, akcje „Pracowni” były odważne i po pewnym czasie udało się obudzić tu jakieś środowisko. Fakt ten spowodował, że po „Pracowni” coś zostało i gdy przestała istnieć, trwało nadal w innej postaci. Krzysztof zaczął idee „Pracowni” realizować w swym gospodarstwie, ale nim to nastąpi... będzie jeszcze Warszawa. Wrócił do niej w końcu 1978 roku, bo tam miała się rychło już urodzić Marta, pierwsze dziecko Doroty i Krzysztofa. Dorota nie miała ochoty rodzić w marquezowskich Plutkach, zresztą dla Krzysztofa nadchodził chyba czas rozstania z grupą „Pracowni”. Coś się wypaliło, domagało się zmiany miejsca. No więc powrót do Warszawy, gdzie niedawno jeszcze upływały cudowne lata studenckie. Krzyś w okresie „Pracowni” był po studencku rozpędzony i żywiołowy, cechy te skryształizowały się parę lat wcześniej. Miał bardzo niezależny sposób bycia, w którym było ogromnie dużo fantazji i polotu. Wszystko to miało źródło w Jego naturze, o której później jeszcze wspomnę. Poznałem go w roku 1972, był początek roku akademickiego, schodził ku mnie po schodach rektoratu, mając w swych ruchach jakąś książącą dezynwolturę. Wywarł na mnie tak silne wrażenie. To niesamowite, jak szybko się zaprzyjaźniliśmy, właściwie już tam, na tych schodach. Od tej pory wszystko robiliśmy razem.

Traktował naukę historii zrazu bardzo serio. Zbyt serio, jak twierdzili nasi koledzy z roku. Dość szybko obaj przystaliśmy do tej gromadki bonwiwantów, birbantów. Krzyś jednak nadal wchodził w głąb wybranej dziedziny rzetelnie i pracowicie, ale może już po dwóch latach zaczął odczuwać rozczarowanie. Na historii sztuki spodziewał się więcej sztuki niż historii, ta zaczynała go już nużyć i zanosilo się na jakiś „drop out”. Świat wokół był tak ciekawy, że nie mogło stać się inaczej. Mimo trwania ponurej gierkowskiej epoki tak dużo się działo. Peerel trzeszczał i rozsypywał się, ludzie nie musieli być już, jak dotąd skazani na emigrację wewnętrzną, bo i na ulicach coś się działo. Tam akcje swoje robiła „Akademia Ruchu”, teatr, który wyrósł ze środowiska studentów historii sztuki, o który obaj się ocieraliśmy... Ale dopiero, gdy przydażyło nam się otrzeć o inny teatr, ten wrocławski, zbawienny „drop out” stał się faktem. Wtrącił on nas na drogę pierwszych prób praktycznych. Najpierw, jeżdżąc co trochę do Wrocławia fascynowaliśmy się spektaklem „Apocalypsis cum figuris”, potem braliśmy już czynny udział w tym, co przez Grotowskiego dość niefortunnie zostało nazwane parateatrem. Widzowie przestawali być widzami, bo brali czynny udział. Ta sprawa Krzysia niesamowicie zafrapowała. Tak jak tam we Wrocławiu wyjeżdżało się do lasu, do Brzezinki, tak tu, będąc w Warszawie, Krzyś zaczął urządzać wyjazdy do Suliszewa. Tam odbywały się jego pierwsze „akcje”. Zapraszał na nie całe grupy młodych ludzi. Ludzie mieli możliwość poznania nie tylko jego wersji działań parateatralnych, ale czegoś jeszcze. Był tam kraj jego dzieciństwa, pejzaż nad brzegiem Rawki, tam natura była jego własną. To było bardzo mocne. Płynęło się łodziami, droga wiodła jakby wśród monetowskich nenufarów, wysiadało się przy leśnej zatoce. Była w tym żywa aktywność, nie było miejsca na lenistwo. Krzyś w ogóle lubił biegać. Nawet będąc w Warszawie, wspólnie biegaliśmy nocami po zakątkach Grochowa, peryferiach Dworca Wschodniego. To była taka nasza joga.

Pod koniec tego okresu zamieszkaliśmy w Zalesiu Górnym, w domu, który wcześniej wynajmował zespół „Osjan”. Stał się on pierwszą stałą bazą, miejscem prób. I ostatnią przystanią

przed wyruszeniem na Warmię. Jeszcze dogasały w nim zainteresowania naukowe, bo trzeba było napisać pracę magisterską. Krzysztof pisał u profesora Białostockiego. Temat dotyczył niemieckiego malarstwa XIX wieku i ilustracji bajek. Nie rozumiałem wtedy tych jego bajek, lecz praca wyszła niezła, doczekała się publikacji. To jego zainteresowanie zaczęło do mnie docierać później, okrężną drogą. Mianowicie różne malownicze, baśniowe formy Krzyś zaczął powoływać do życia w swym gospodarstwie na Warmii, choć może nie w postaci jakiegoś kiczu, dyskretnie. Podobnie było z „Kalevalą”, ponieważ wiedziałem, jak bardzo gorliwym był czytelnikiem fińskiego eposu, domyślałem się, że w praktyce rolniczej musiało to znaleźć swoje odbicie. Oczywiście nie od razu, przez to tym bardziej przekonująco. Aż i mnie to w końcu przekonało, przyszedł czas, że wziąłem się za lekturę opastego tomu, przez który wcześniej nie mogłem przebrnąć. To jedna z rzeczy, którą mu zawdzięczam...

Zatem, epizod „Pracowni Olsztyńskiej”, choć doniosły i intensywny szybko się skończył i Krzyś znalazł dla siebie miejsce w Godkach. Przyszedł nowy czas, który płynął w zupełnie innym rytmie. Tamten był burzliwy, ten musiał być spokojniejszy, bo jak inaczej uprawiać rolnictwo? Zaczęło się od „spółki rolnej”, lecz wkrótce okazało się, że on woli działać w pojedynkę. „Spółka” zapowiadała się jako kolejna ciekawa grupa, lecz teraz potrzebna była raczej rodzina. Rodzina, która powiększała się, przeprowadziła się do Godek. Co prawda w pojedynkę działać nie będzie, bo od tam już zawsze wspólnie z Dorotą. Czytali Steinera i zaczęli zakładać gospodarstwo biodynamiczne. Był rok 1982, czas Generała, czas, który zmiotł „Pracownię”, nie był dobrym czasem dla niepokornych. Odpowiedzią mogła być właśnie pokora, działanie, które nie musiało od razu dać owoców. Trzeba było, jak wtedy od niego usłyszałem, czekać siedem lat, by stworzyć gospodarstwo biodynamiczne. Dla nas profanów sprawa była tajemnicza, jakieś orientowanie na Księżyc, gwiazdy czasu zasiewów, orki. Zagrzebywanie w czterech rogach przyzmy kompostowej proszku ze zmielonego rogu jelenia, o północy... Krzyś dowiadywał się różnych praktycznych rzeczy od Juliana Osetka, do którego podróżował, który w Polsce był prekursorem, żywą legendą polskiej biodynamiki, postacią tołstojowską, franciszkańską, mieszkał niedaleko Nakła.

Rok 1989, ważna data, Krzysztof bierze udział w założeniu „Ekolandu” Stowarzyszenia Producentów Żywności Metodami Ekologicznymi. Przyszedł czas, kiedy jego obecność w życiu publicznym stała się nagle bardzo wyraźna. Miał duże poparcie w swojej najbliższej okolicy, również ze strony tradycyjnych rolników, w pierwszych wyborach samorządowych został radnym i wkrótce był członkiem zarządu gminy. Tamta demokracja lokalna, choć trwała tylko jedną kadencję i zaraz podupadła, nie powstała z niczego. Już parę lat wcześniej, w okolicy pupczańskiej zaistniała inicjatywa pod nazwą „Raj globalny, działania lokalne”, Krzyś miał wokół siebie przedstawicieli różnych specjalności, psychologów, pedagogów. Okolica — w czasach późnego Generała — robiła się coraz ciekawsza. W pobliskiej „Galerii Przestrzeni”, którą prowadzili Hanna i Jan Rylke, pojawił się Andrzej Suryn, poeta i artysta. Robił w niej happening „pomnik wiatru”. Andrzej swymi pomysłami i wierszami próbował pobudzić do życia, animować okolicę. Czerpał wiele inspiracji z gospodarstwa Krzysia, którego atmosfera stanowiła dlań jakieś marzenie i jakąś obietnicę lepszych czasów. Jak wizjoner planował tu „Biesiadę 2000”. W roku 1986, gdy w okolicy pojawił się teatr, Suryn ułożył piosenkę „Pupki, Godki, Węgajty”. Wiele lat później na walnym zebraniu „Borussii” prezentowany był projekt, którego tytuł zaczerpnięto z Surynowej piosenki. Autorami projektu byli Dorota i Krzysztof Łepkowscy. Projekt dotyczył pracy nad krajobrazem kulturowym okolicy.

Nadchodziła kolejna epoka. Tamta skończyła się po roku 1989. Wielka wolta ekonomiczna, jaka się dokonała, oznaczać musiała dla rolników w tej okolicy zmianę dość nieoczekiwaną. Ziemie piękne, ale nieurodzajne, toteż rachunek ekonomiczny był nieubłagany. O rolniczym raju już nie mogło być mowy. Krzyś zaczął wprowadzać teraz dużo nowych form, najogólniej mówiąc edukacyjnych. Dzięki temu gospodarstwo mogło przetrwać. Ale nie były to jakieś zmiany wymuszone. Po prostu robił dalej to, co zawsze lubił robić, na przykład zabierać całą furę dzieci do lasu i pokazywać im nieznane zioła. Potrafił te swoje praktyki rozwijać, rozbudować, podnieść do rangi profesjonalnej, wokół tego stworzyć ośrodek, dać zatrudnienie ludziom. A gdy powstało unikatowe gospodarstwo edukacyjno-ekologiczne, on chciał jeszcze stworzyć Centrum Natury, Edukacji i Kultury...

Trudno by było wyliczyć wszystkie jego zajęcia, umiejętności, dziedziny. Poznał rzemiosło życia, ale się w nim nie zamknął, ciągle szukał. Pamięć o tym to część schedy, którą pozostawił. Trzeba pamiętać, jak ważne jest to, że zanim ze swego gospodarstwa w Godkach odszedł, jesienią 2003 roku, w ciężką, nieuleczalną chorobę, pootwierał mnóstwo ścieżek...

Wacław Sobaszek